ZNICZ

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

ZESZYT 1 MAJ 1927 ROCZNIK I (VIII)

CENA 50 GR.

TREŚĆ NUMERU:

Numer podpisano do druku dnia 5 maja b. r.

ZESZYT 1. ROCZNIK I. (VIII.)

ZNICZ

MAJ 1927

OD REDAKCJI.

W tych kilku słowach wstępu pragniemy wyjaśnić, z jakich pobudek wznawiamy wydawnictwo „**Znicza**“*), jakie są jego cele i zadania.

Brak organu młodzieży, któryby skupiał w sobie całe jej życie, zaznajamiał ogół z naszemi poczynaniami, gdzieby się każdy z nas mógł swobodnie wypowiedzieć, — skłonił nas do podjęcia tej pracy. A że nie jest ona bezcelową i że stworzenie takiego pisma jest koniecznem,— świadczy wielka ilość pisemek szkolnych, które ukazują się prawie w każdym zakładzie naukowym, jednakże dostosowane do potrzeb danej tylko szkoły, poza jej mury nie wychodzą.

„Znicz“ ma być wyrazem naszych żądań, pragnień, celów i tych myśli, które nas ożywiają. Ma nam mówić o tem, co piękne, a co złe w naszem życiu. Ma podnosić nasze uczucia moralne i patrjotyczne, kształcić etyczny pogląd na świat, wyrobić ludzi zdrowych, silnych, nie nerwowych fantastów. Ma nas zachęcać do pracy nad sobą, do pracy umysłowej, samokształceniowej; powinien dawać idee górne, krzewić zamiłowanie sztuk pięknych, literatury, a zwłaszcza poezji; odrywać nas od niskiego, zmaterjalizowanego, współczesnego życia, a przenosić nas młodych w kraj innych wznioślejszych myśli; wieść do poznania własnych sił i godności własnej.

Ma **„Znicz“** wielkie i trudne zadanie; ma nas oderwać od zgnilizny, zepsucia, ma walczyć z naszemi wadami, tępić zło i wskazywać promienne drogi naprawy. — I któż tego może dokonać, jak nie my, młodzi, co się najlepiej znamy; gdzież omówimy nasze bolączki, gdzie podamy swe plany i środki, jak nie w piśmie naszem? Słowa, wypowiadane w tych sprawach, winny być wolne od ironji, sarkazmu i gniewu, a przemawiać tylko prawdą, uczuciem i miłością.

Lecz, by hasła **„Znicza“** znalazły oddźwięk w masach młodzieży, musi się on szerzej rozchodzić. Wzbudzi zaś zainteresowanie, jeśli uwzględni życie młodzieży na wszystkich polach, jeśli będzie informował o wszystkich przejawach naszych uczuć i myśli. W tym celu wciągamy do tej pracy nietylko młodzież krakowską. W tej naszej pracy cała młodzież winna wziąć udział.

Nie traćmy wiary i nadziei w dobry koniec. Nie zniechęcajmy się, że może słowa nasze miną bez śladu, że może niezrozumiani, wyśmiani, nic nie zdziałamy. Nie myślmy tak! Nie wszystkie młodzieńcze dusze tak są w złem zasklepione, by słowo szczere, płynące z serca, słowo koleżeńskiej przestrogi mijało bez śladu. A może zato dużo takich, co właśnie potrzebują słów zachęty i miłości.

Niech te dwa pierwiastki: **miłość i koleżeństwo** ożywiają nasze pismo, a stanie się ono tem, czem być powinno: wyrazem uczuć i myśli nas — młodych.

Wierzymy, że słowa nasze nie przeminą bez echa; wierzymy, że szczerość nasza znajdzie oddźwięk w Waszych sercach, i z tą niezachwianą wiarą wydajemy ten pierwszy numer. A o naszych zamiarach i pracy niech świadczy każdy numer **„Znicza“.**

Redakcja.

*) Od r. 1906—1913 wychodziło w Krakowie, staraniem gimn. Sobieskiego, pierwsze pismo polskiej młodzieży szkół średnich „Znicz“, o czem szerzej pomówimy w następnym numerze.

O DUSZĘ MŁODZIEŻY.

„Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj!“...

J. Słowacki. Kordjan.

Kordjan to typ młodzieńca o chorej, zmęczonej duszy, pokłóconej z rzeczywistością, która nie umie w życiu przewartościować się w czyn.

Ileż lat dzieli nas od jego okresu, ile wypadków, ile dokonało się już przewrotów w umysłowości i duszy ludzkiej. A jednak powyższe słowa Kordjana powtórzyć może śmiało trzy czwarte dzisiejszej młodzieży. Odejmijmy Kordjanowi jego rysy bajrońskie, pozę romantyczną i chorobliwe podniecenie nerwowe a pozostanie w nim jako motyw przewodni, bezcelowość życia i niepokój, niepokój, który tak targa dziś sercami polskiej młodzieży.

Wewnętrzne szamotanie się w poszukiwaniu nowych dróg a w rezultacie dreptanie naoślep po ciasnym podwórku codziennego życia — to obraz jej bytowania.

Dusza młodzieży paczy się ustawicznie. Spójrzmy

na wypadki ostatnich lat. Ciągłe samobójstwa, tak przykre zajścia przy maturze wileńskiej i wreszcie fakta ostatnie: kilkunastoletni mordercy — to dowody niemocy przenikającej i toczącej organizm młodzieży. Obniżenie poziomu etycznego i intelektualnego przy wybujałej nad miarę wrażliwości nerwowej, przechodzącej aż w stan nienormalny, przy spotęgowanym indywidualiźmie a raczej egoiźmie, dziwna ospałość i obojętność przy nieumiejętności znalezienia w życiu właściwych wartości — oto jakim zboczeniom ulega charakter młodzieży. Brak czynników popychających młodzież ku wyższej sferze zainteresowań, ku szerszym horyzontom myślowym. Wyczuwa się wszędzie, na każdym kroku pustkę, pustkę, którą tak trudno czemkolwiek zapełnić.

Czemu to przypisać?

Dwa główne czynniki wychowawcze wpływają na młodzież (wiek 14—18 lat): dom i szkoła.

Dom dziś niestety nie może w wielkim stopniu oddziaływać wychowawczo na młodzież i czuwać nad kierunkiem jego duchowego rozwoju. Z jednej strony wielkie chwile wojny zbyt silnie rozkołysały i wzburzyły serca i umysły pokolenia starszego, by mogło ono powrócić do normalnego trybu życia. Z drugiej strony ciężka walka o byt wśród złych warunków staje się jedynem zajęciem rodziców zbyt wytężającem, by pozwoliło na bliższe zajęcie się dziećmi.

A pokolenie młodsze t. j. młodzież, puszczona samopas, stara się żyć jak najłatwiej.

Nie walczy z falami życia lecz przeciwnie, dając się biernie unosić prądowi, stara się tylko, by było jej jak najwygodniej; ma przed oczyma jeden cel — zdobycie stanowiska.

Niema też między tema dwoma pokoleniami ani głębszego współżycia duchowego, ani bliższego zrozumienia, czy choć porozumienia we współpracy. Rozłam jest zbyt duży, a wysiłków, by zbliżyć się wzajemnie, zbyt mało. O ile i w jakim stopniu jest to szkodliwe, rozumie chyba każdy.

To też bezwątpienia stało się powodem rozluźnienia więzów łączących profesorów i uczniów. O ile dawniej istniały nici łączące ich wspólnie: poczucie obrony przed zaborcą, to teraz stosunki te uległy pewnemu naprężeniu, które dziś w wolnej polskiej szkole tembardziej razi. Niema często pomiędzy nimi jakiegoś serdeczniejszego, opartego na wzajemnym szacunku i zaufaniu zbliżenia, daje się odczuwać u uczniów pewna nieszczerość i sztuczność względem profesorów. I ten nieunormowany wzajemny stosunek wprowadza do szkoły dość silnie brzmiące dysonanse, które się kłócą w pewnym stopniu z dwoma zasadniczemi zadaniami szkoły: nauką i wychowaniem.

Tak więc i drugi ważny czynnik wychowawczy, szkoła, nie zawsze może skierować życie młodzieży na właściwe tory. I życie to kruszy się i rozpryskuje pozbawione podniety, któraby je zestrzeliła w ognisko młodzieńczego zapału.

. . . .

Żyjemy w chwili wielkiej i radosnej!...

Posępne, okrutne widmo wojny wstrząsło zastygłą skorupą ziemi. Kule armat, trajkot karabinów, warczenie bębnów, jęki ludzkie, zmieszane w wielką symfonję nędzy i bólu i łez, rozlegały się szeroko i daleko po świecie przez lat cztery. Rozpętana moc zniszczenia rzucała się w objęcia śmierci, by wszędy nieść pożogę i rzeź.

I pękał i rozpadał się na nic stary porządek świata. Zwolna z za morza krwi i łez wschodziło słońce odrodzenia...

Jak majak przedziwny wstaje Polska. Wznoszą się zwolna węgły państwowe.

I zdało się, że kiedy przyszła Ta oczekiwana, wytęskniona, wywalczona — stanie się jakimś rajem nieziemskim, że stanie się coś niezwykłego...

A jednak...

Nie narzekajmy! Nie narzekajmy my młodzi, których najważniejszym przywilejem jest być młodym, widzieć świat w różnych blaskach Jutrzni, być pełnym wewnętrznej mocy i rozmachu.

Dziś, kiedy w kraju brzmi hasło ogólnej sanacji, uleczmy my naprzód siebie. Zdobądźmy wśród nowych warunków prawo do nowego, słonecznego życia. Trzeba nam uczyć siebie i innych wiary, że można cud z nicości stworzyć, że życie to gorąca, promienna walka o cenę duszy własnej, której końcem musi być zwycięstwo!

Zbudźmy się ze snu! Zmierzmy się z naszą słabością! Zapomnijmy o brudach życia! Nie chcemy już krwi i mordu, gwałtu i łez, ale słonecznej pracy i jasnych dni, co popłyną po błękicie naszego życia. Doszukujmy się w głębi naszych jestestw i w życiu prawdziwych, nieprzemijających wartości wielkich idej, które zbudzą duszę życia, a duszy cel ukażą.

Na widnokręgu zjawiają się zwiastuny nowej ery w dziejach ludzkości. Zwolna kroczą ku nam Wielkie Dni, a one muszą nas zastać przygotowanych do walki o ideał i duszę narodu!

Oto postulaty, których spełnienia oczekiwać będą najbliższe lata. A więc podajmy sobie młodzieńcze dłonie, stańmy w ogromne, braterskie koło i niech z tysięcy młodych, świeżych piersi buchnie okrzyk: Zwyciężymy!!!

Juljusz Bobrowski.

Z NASTROJÓW WIOSENNYCH.

Już przyszła z ciepłym, wiosennym powiewem,
Jakby z zaświatów przysłana pieszczota.
W pajęcze siatki całą duszę mota,
Ale kto ona? jej imię? — ja nie wiem...

Serce gorącem napełnia zarzewiem:
I chciałbym zamki budować ze złota
I jakaś wielka, potężna tęsknota
Każe mi działać. Jak działać? — ja nie wiem...

Rodzą się w głowie dziwaczne zamiary:
To chciałbym orłem wzbić się nad obszary,
Przelecieć ziemię od końca do końca.

To znowu pragnę osiąść w cichej wiosce,
Zapomnieć ludzi, zapomnieć o trosce
I żyć samotny hen w promieniach słońca!

Antoni Prejbisz (Warszawa).

PO BURZY.

Deszcz padać przestał. Poprzez chmur zwał szary
Rzuciło słońce pęk jasnych promieni
Na operlone listeczki zieleni
I na brunatne, mokre drzew konary.

Długo, radośnie zaszumiał dąb stary,
A na zielonej bujnych łąk przestrzeni
Otwarły kwiaty maków i złocieni
Mokre kielichy, jako winne czary.

Wybiegłem z domu. Podmuch wiatru świeży
Roznosi wokół zapach mokrej ziemi,
Z drzew strąca krople i na mej odzieży

Znaczy ślad gęsty perłami jasnemi.
Wdycham z rozkoszą rzeźwy oddech wiosny —
Jestem szczęśliwy i dziwnie radosny.

Antoni Prejbisz (Warszawa).

Z NIEZNANYCH I ZAPOMNIANYCH PISM HENRYKA SIENKIEWICZA.

Podajemy poniżej nieznany list H. Sienkiewicza do prof. A. E. Balickiego, przewodniczącego krakowskiego Komitetu, zawiązanego z końcem 1911 r. ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Zygmunta Krasińskiego. Jest to odpowiedź na zaproszenie Komitetu, by swą współpracą uświetnił obchód ku czci wieszcza.

Sienkiewicz nadesłał wówczas garść aforyzmów, które wydrukowano w pamiątkowej jednodniówce „K u c z c i Z y g m u n t a K r a s i ń s k i e g o" (Kraków 1912). Ponieważ nie zauważyliśmy ich w tomie „Z a p o m n i a n y c h i n i e w y d a n y c h p i s m H. S i e n k i e w i c z a" (Lwów. — Zakład Ossolińskich — 1922) — przypominamy je tutaj.

Autografy, które tu reprodukujemy w naturalnej wielkości, są w posiadaniu prof. A. E. Balickiego. **(Red.).**

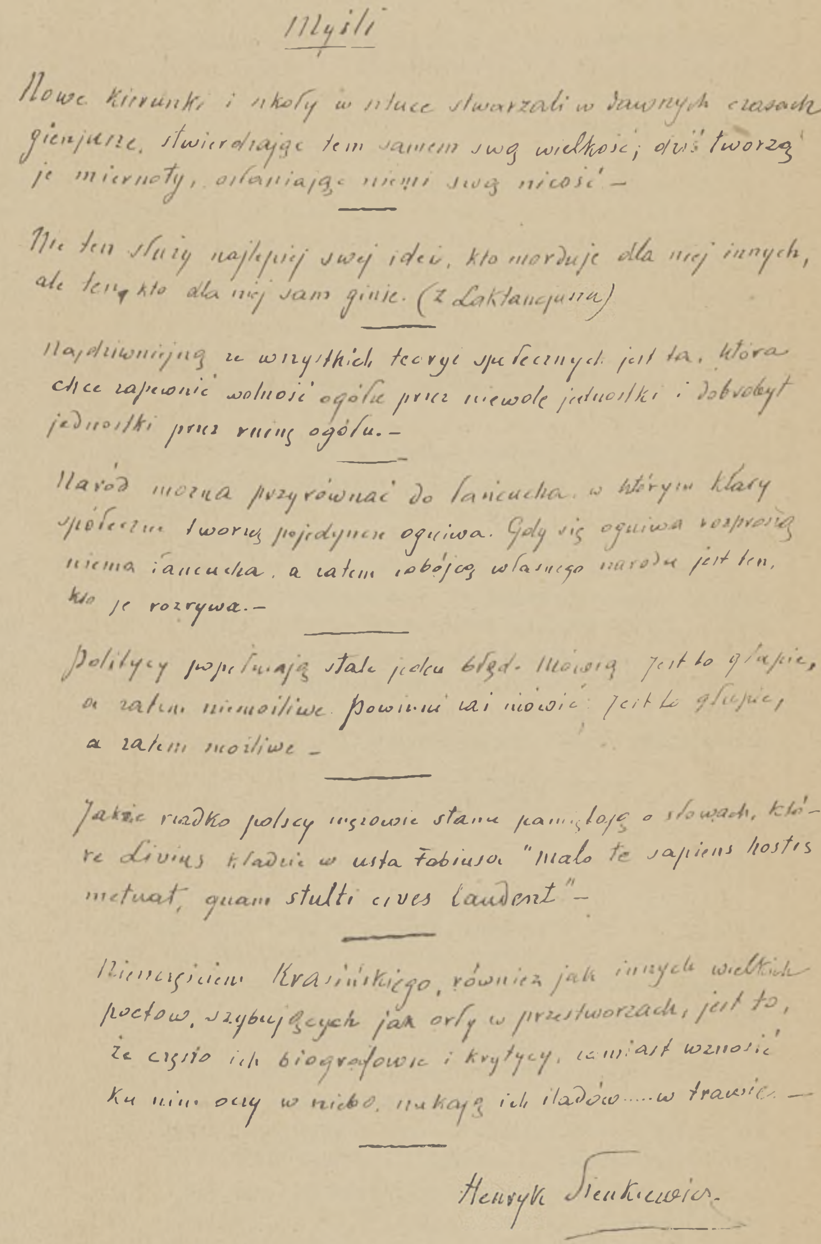
Szanowni Panowie.

Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, którą spowodował zły stan mego zdrowia i niemożność doniesienia napewno czy, i o ile, będę mógł wziąć udział w uroczystościach z powodu rocznicy Krasińskiego. Jakkolwiek nie uważam jednodniówki za odpowiedni sposób, (choćby między innemi) uczczenia rocznicy, przesyłam jednak garść aforyzmów. Co do mego przemówienia, wybieram się wprawdzie wkrótce do Krakowa i być może że zostanę do 19 Lutego, ale zimą choruję zawsze na gardło i najczęściej przemawiać publicznie nie mogę. Z tego powodu proszę uprzejmie o niewymienianie mego nazwiska w programie.

Załączam wyrazy wysokiego poważania i szacunku **H. Sienkiewicz.**

23 stycznia 1912.

Warszawa, ulica Szopena 18.


Myśli

Nowe kierunki i szkoły w sztuce stwarzali w dawnych czasach geniusze, stwierdzając tem samem swą wielkość; dziś tworzą je miernoty, osłaniając niemi swą nicość.—

Nie ten służy najlepiej swej idei, kto morduje dla niej innych, ale ten, kto dla niej sam ginie. (z Laktancjusza)

Najdziwniejszą ze wszystkich teoryi społecznych jest ta, która chce zapewnić wolność ogółu przez niewolę jednostki i dobrobyt jednostki przez ruinę ogółu.—

Naród można przyrównać do łańcucha, w którym klasy społeczne tworzą pojedyncze ogniwa. Gdy się ogniwa rozprzęgą, niema łańcucha, a zatem zabójcą własnego narodu jest ten, kto je rozrywa.—

Politycy popełniają stale jeden błąd. Mówią: jest to głupie, a zatem niemożliwe. Powinni zaś mówić: jest to głupie, a zatem możliwe —

Jakże rzadko polscy mężowie stanu pamiętają o słowach, które Livius kładzie w usta Fabiusa "Malo te sapiens hostis metuat, quam stulti cives laudent".—

Nieszczęściem Krasińskiego, również jak innych wielkich poetów, szybujących jak orły w przestworzach, jest to, że często ich biografowie i krytycy, zamiast wznosić ku nim oczy w niebo, szukają ich śladów..... w trawie.—

Henryk Sienkiewicz.

MYŚLI.

Nowe kierunki i szkoły w sztuce stwarzali w dawnych czasach gienjusze, stwierdzając tem samem swą wielkość, dziś tworzą je miernoty, osłaniając niemi swą nicość.

Nie ten służy najlepiej swojej idei, kto morduje dla niej innych, ale ten, kto dla niej sam ginie. (z Laktancjusza).

Najdziwniejszą ze wszystkich teoryj społecznych jest ta, która chce zapewnić wolność ogółu przez niewolę jednostki i dobrobyt jednostki przez ruinę ogółu.

Naród można przyrównać do łańcucha, w którym klasy społeczne tworzą pojedyncze ogniwa. Gdy się ogniwa rozproszą, niema łańcucha, a zatem zabójcą własnego narodu jest ten, kto je rozrywa.

Politycy popełniają stale jeden błąd. Mówią: Jest to głupie, a zatem niemożliwe. Powinni mówić: Jest to głupie, a zatem możliwe.

Jakże rzadko polscy mężowie stanu pamiętają o słowach, które Livius kładzie w usta Fabiusa: „Malo te sapiens hostis metuat, quam stulti cives laudent.

Nieszczęściem Krasińskiego, również jak i innych wielkich poetów, szybujących jak orły w przestworzach, jest to, że często ich biografowie i krytycy, zamiast wznosić ku nim oczy w niebo, szukają ich śladów... w trawie.

MORZE.

Gdy staniesz nad brzegiem morza, na piaskach czy głazach, urwiskach czy wydmach — wszędzie, gdziekolwiek okiem pomkniesz, roztwiera się przed tobą nieobjęty przestwór morski. Wymarzona, nieosiągalna dla nas linja, prosta, jak promień słoneczny, odrzyna otchłań morza od niebios. Od linji tej suną i suną ku tobie — bez końca — pieniste grzebienie fal. Łamią się i bezsilnie rozsnuwają u stóp twych, pieszcząc je słodkim i chłodnym pocałunkiem. Biegnie oko twe w dal, upatrując coraz mniejszych i mniejszych czubów fal, aż dobiega do kresu daleko — niezmiernie daleko... I łamie się i pada bezsilnie — jak fala u stóp twych — śląc w nieskończoność słodki, tęskny pocałunek.

— O, morze!...

Na całym, niepojęcie ogromnym, globie ziemskim rozpościera się przeraźliwie rozległa pustać morska. Po nieobjętych okiem bezkresach oceanów tańczą, tańczą szalone wichury. O, jak im swobodnie... Hulają z krańca ziemi w kraniec — pysznie, rozgłośnie, szeroko...! Nad olbrzymiemi, spienionemi falami polata, polata mewa białoskrzydła, ptak cudny, ptak wolny, ptak dziki. Oh, słyszę ryk straszliwych burzy zwrotnikowych, trzask piorunów i wycie huraganu, orgje błyskawic i fal skłębienie potworne, — wir kosmiczny, przepotężną mowę nieskończoności!

...a na dnie... — ...cisza„
— Cisza zupełna.

* * *

Błyskają fosforycznemi oczyma dziw — ryby, cud stwory. W ciszy podmorskiej, w wiekuistem dna milczeniu, jakże wolno czas płynie, — jakże wolno... Niesamowitych kształtów stworzenia poruszają się leniwie — gąbki i koralowce, ośmiornice i mięczaki śnią sny dziwne, długie, straszne — Wśród potwornych wodorostów mkną ryby cudowne, wielokształtne, czarujące. Przepływają morze w wilgotnym mroku głębin koło kolumny strzaskanej — na zatopionym przed wiekami kraju światła i słońca, — Atlantydzie...

A na całym obszarze podmorskim, zda się — we wszechświecie całym, ...cisza... ...cisza.., cisza„ Od miljona lat po miljon lat... Dla ludzkich, ziemskich tu zabiegów, mrówczych krzątań, bezrozumnych hałasów i gonitw — jakże daleka, obojętna, wzgardliwa... Przez wieczność.

Na ruchliwą powierzchnię wód padają światła niebios, gwiazd, słońca i księżyca. Wspaniała kula ziemska, pokryta mórz błękitem, opasana bywa — dla oka jeno ludzkiego i aniołów istniejącemi — pasem złotym i pasem srebrnym, które wciąż ze wschodu na zachód suną. Drżący pas złotolity kładzie na wód bezmiarach słońce wschodzące, znak Boga widomy. Drżący pas srebrny, cudny jak sen, kładzie na falach powierzchni księżyc, po przeciwnej stronie — bywa — wędrujący. Tak ozdobiona sunie ziemia po wszechświecie...

Od niepamiętnych czasów tajemna radość przenika serce człowiecze na widok onych rzeczy niezmiennych i wiecznych. Uwielbiał je przed wiekami śpiewak żydowski, w pieśni pełnej zachwytu:

— Niebiosa opowiadają chwałę Bożą, a dzieło rąk jego rozpostarcie ukazuje.

— Dzień dniowi podaje słowo, a noc nocy pokazuje umiejętność. Niemasz języka ani mowy, gdzieby głosu ich słychać nie było... Na wszystkę ziemię wyszedł porządek ich, a na kończyny okręgu słowa ich; słońcu na nich namiot wystawił.

— ...A to jako oblubieniec wychodzi z łożnicy swojej... Raduje się jako olbrzym, który ma bieżeć w drogę.

— Wychodzi od kończyn ziemi, a obchodzi je aż do końca, a nie masz nic, coby się mogło ukryć przed gorącem jego.

Tak samo dziś, i na wieki. Uwielbia sprawy te Stefan Żeromski w pieśni pełnej zachwytu:

„— Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w lądy i morza.

—... wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo opisu ten powrót słońca. Wieczny jest i niezmienny, zawsze ten sam, a nigdy ani o jedną jotę, ani o jedną kreskę nie mniej olśniewający i budzący zdumienie, niż przed nieskończonym czasu oceanem.

— Uwielbiajmy pochody słońca nad lądami, które są, i nad rzekami, których już niema — wschody i zachody, wznioślejsze w swem czarodziejstwie ponad

śpiew ptasi i ponad słowo człowieka, — nawroty wieczne, a nigdy nie ulegające odmianie.

— ...Wznieśmy się w radości naszej ponad utwierdzenia, w przestwór elementów i nad niezmierzone bezgranicza morza".

Serce moje stęsknione ukazuje oczom moim wizje czarowne, miraże brzegów nieznanych. Ta fala od stóp mych biegnie w świat — ta fala roztrąca się o brzegi Bretanji, fjordy Norwegji i rozpalone urwiska włoskie... Zda mi się — widzę wschód słońca w przepięknej zatoce Rio de Janeiro, ponad czubami rozhuśtanych palm, gdzie wraz z kuli słonecznej zjawieniem pada na morze i ziemię „płomienna sfera upału".

— Jak cudne światła i barwy mienią się na zimnej powierzchni lodowatych wód północy — u brzegów Sybiru, Alaski, Grenlandji...

— Jak niezrównanie piękne widowisko przedstawiać musi słońce ranne, gdy się w Japonji ukazuje — krainie kwitnących wiśni, chryzantem i hiacyntów, — krainie wulkanów o linjach nieskazitelnie czystych...

— Pluska fala morska o brzegi górzystego Cejlonu, porosłe szmaragdową puszczą dziewiczą — kędy w ciszy leśnej marzą o dziejach dawnych ruiny prastarych hinduskich świątyń...

— Z rykiem pędzą bałwany spienione ku dzikiemu pobrzeżu cypla południowej Afryki i roztrzaskują się wściekle o skały...

A wszędzie, na całym globie, gdzie jeno morze dociera — czy w mroźnych krainach północy, — czy w drgających światłem i barw tysiącem krainach upałów, — na wyspach czarownych, w oceanach rozsypanych, — na pobrzeżach piaszczystych czy stromych, porosłych palmami czy sosenkami, trawą ubogą czy gęstą „maccią", — czyli igrają nad niem dzieci białe czy czarne, żółte lub brązowe — — —

— wszędzie i zawsze szumi i huczy, szemrze i szepta morze wiekuiste, zawsze i wszędzie inne, zawsze i wszędzie to samo...

Bije szeregiem fal o brzegi i śpiewa, huczy pieśń bez końca — cichą i ukojną, to grzmiącą i straszną.

— Piękniejsze ponad wszelkie słowo uwielbienia morze.

Adam Rieger.

WŁADYSŁAW MARJA KRYGOWSKI

WIATRAK.

Byłżeby to ten sam
Czerwonem winem dom obrosły,
Z którym, w zacieniu czarnych bram
Kilkoro brzóz o pion się sprzecza?
A naprzeciw, czarny i ogłuchły
Wiatrak, w odwiecznem skrzyżowaniu rąk,
Jak żebrak od starości chromy i opuchły
Już nie żebrze lecz patrzy:
Jak się po złotym gościńcu krąg
Wozów we wężu wydłuża,
I jeno pod wiatr jednako powtarza:
„Raz dwa trzy, raz dwa trzy!"
Słowa jednakie odważa, rozważa:
„Wczoraj tak, i jutro tak,
Będę sobie stał jak dziś,
Kościom nie dam spocząć wcale,
W stawach chrzęści cosi części,
Ale zawsze jako dziś
Skrzydliskami machać trza,
Może wicher mi poszczęści,
Raz i dwa, i raz i dwa".
Zatem jest dom,
Wyniosły, ciosowy dom,
Z którym, o smukłość się kłóci, i o godniejszy pion
Kilkoro brzóz i kilka lip,
Którym tę waśń umila skrzyp
Na trakt otwieranych drzwi;
Dom, z oknami nad modrą wstęgą
Rzeki, gdzie przerzucone mosty
Żegnają brzegi w wiecznym pocałunku
Rozłączone — —
Dom zadumany jak robotnik prosty,
Z czołem spalonem niebieską potęgą,
Milczący i wpatrzony, zali nie wraca kto od strony
Miasta strzelistych wież — —
I oto w tę wieczerzę na dole,
Srebrne okna ujrzały, że wśród traw,
Żółty jak szafran księżyc toczy się przez pole,
W żółtym habicie a zielonej wodzie
Odbijający się, jak pieniądz złoty.
Wychodzi krętą ścieżyną dziad,
Migotlejący w garnkach suszonych na płocie,
Poddasza, parują wilgocią niebieską,
Psy machają ogonem ochoczo,
Sad owocny, z rozgałęzień swych czterdziestu lat
Pobłażliwie spogląda jabłkami, jak kieską
Czerwonych talarów, w gędźbie polnego szelestu.
Z nizin, flamandzkich braci pozdrawia
Ramion krzyżem, polskie wiatraczysko.
Słonym wiatrem smagany szczyt
Bezustannie waha się wokoło,
Podniósł czoło do góry,
Choć zielono, zielono u spodu
I listowiem zarosłe wilgotnem
Zbutwielizną przeżarte podkopy,
Lada chwila rozsypią się w gruz,
Ale wiatrak w słonych wiatrach
Macha czapką jakby chciał
Tej gromadzie białych brzóz
Krzyknąć głośno: „Patrzcie! Młodym!
Gdyby tylko wicher wiał!" —
Ale na złość słońce pali,
Wysuszone są gościńce
A czerwone jabłka z sadu
Przedrzeźniają starca w ruchu,
Kołyszące się na lekkiej
Kołysance wiewów polnych
I wołają nań: „Staruchu!
Trza ci było tutaj stać,

Machać czapką jednakowo
W prawo, w lewo i na nowo?
Nie dość owych lat młodości
Kiedyś młody był i gwarny
I jarmarcznych krzyków pełny
Żywot tobie starca marny
Jako stoły już bez gości.
Dni twych długie drogi mleczne
Nad tą modrą wstęgą rzeki
Naprzeciwko nas i domu
Aż nad nami las zaszumi
Nieustanne przejdą wieki". —
Bywało — — na wiatraku ptak przy ptaku,
Cisza sieje ziarnka maku,
Nie zaszumi żaden szum.
Trawa nogą przydeptana
Nie odetchnie piersią szerzej,
Jeno w cieniu skrzydeł czarnych,
Błon rozpiętych nietoperza,
Zaśnie wszelki twór niewielki,
Zmierzchnik nawet milczy głucho,
Wiatraczysko opuszczone, pochylone w jedną [stronę
Konające na rozdrożu i ostatnim tchem patrzące,
Widzi jeszcze naprzeciwko
Sad i brzozy, wierzby śpiące,
I głos wody słyszy jakby
Z głębi ciemnej wielkiej putni,
I krom tych drzew, które o pion
Ze żółtym domem rosną w kłótni,
Mgłą zasute zwiduje gościńce
Do jarmarczych ludnych miast —
Nie jemu tam iść przy świetle gwiazd
Ażeby pierwszym na jarmarku być —
Wiatraku! Gdzieżeście to zgubili
Te gromady ptaków, i tych wróbli — balladników,
I w onych lip zapachu
Czyżbyście stać nie chcieli chwili? —
Tak gędźbią trawy i paprocie
Przy płocie rosłe i na płocie
Okrążającym wiatrak kołem
Jak goście smutni poza stołem,
Na grobie rosłe silne, młode
Soków spęcznieniem widne zdala,
Aż się przewali znowu fala
I o nich mówić będą inne
Wychwalać słońcu swą urodę.
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Chłopak, patrzący na to
Z okien żółtego domu,
Nie mówił o tem nikomu,
Że widział wiatraczą rozterkę,
Jeno w pogwarce ze sercem
Pojął harmonję ogromu,
Chłopak nie mogący żyć inaczej
Jak między ptakiem zawsze wolnym
Onym wiatrakiem i wszelakiem
Stworzeniem bożem zapodołnem,
Ocierał słone łzy na twarzy
Suszone wiatrem,
Balladnikiem polnym. — —

DR ADAM GADOMSKI (Nowy Sącz)

WSPOMNIENIA TATRZAŃSKIE.

(Wrażenia z lat 1924/25/26).

Czasem najlepiej złożone pod względem towarzystwa wyprawy górskie nie udają się i wycieczka rozpada się na parę grup wzajemnie się szukających. Tak też zdarzyło się w lesie 1924 roku, gdy ogłosiłem wycieczkę w grupę Łomnicy, której głównym celem miało być dokładne zaznajomienie się z polem wiecznych śniegów „pod Miedzianą Ławką", co do których już z poprzedniego lata żywiłem pewne podejrzenia, iż kryją pod sobą prawdziwy lodowiec. Zwróciłem się tedy do taterników i geografów z propozycją zwiedzenia tychże okolic, sądząc, że tego rodzaju symbioza naukowo-turystyczna wyda najlepsze rezultaty. Geografowie odbywali w tym czasie wycieczkę dookoła Tatr, wycieczkę pamiętną zwiedzeniem groty Lodowej, zejściem po nocy z Czerwonych Wierchów i nadzwyczaj gościnnem przyjęciem w schronisku doliny Kościeliskiej, gdzie przed wycieczką zamknięto schronisko, a proszącym o posiłek i nocleg grożono rewolwerem. W wycieczce tej brałem udział i w ciągu dalszej drogi aż do Tatr umówiłem się o miejsce wspólnego spotkania z bracią geograficzną. W Zakopanem, gdzie po rozstaniu z geografami, zająłem się przygotowaniem wyprawy na lodowiec, zmówiłem się z taternikami, by z nimi wyruszyć na spotkanie idących do Liptowa geografów. Tymczasem w dniu wymarszu taternicy zawiedli, tak, że nie pozostało mi nic innego, jak samemu w towarzystwie tylko dwóch dzielnych a przebywających w Zakopanem geografek, udać się na tę wyprawę. Taternicy mieli nazajutrz wyruszyć i spotkać się z nami przy Zielonym Stawie Kieźmarskim. Zaopatrzony w linę, wyruszyłem pieszo drogą jezdną ku Łysej Polanie pospieszym marszem, ponieważ w dniu tym należało przejść na drugą stronę Tatr, a w dniu następnym przecież miało nastąpić spotkanie z geografami. Dzień nie zapowiadał się pomyślnie, góry schowały się w mgłach, przejmujące zimno wskazywało, iż w górach w nocy spadły śniegi. Wszystko to nie było dobrą zapowiedzią dla naszej skromnej grupy wycieczkowej, a zwłaszcza dla spotkania się aż trzech partyj ze sobą. Na granicy czeskiej, przy Łysej Polanie, małe zajście; towarzyszki bowiem moje nie miały żadnych przepustek, ale ufni w szczęśliwe przebycie granicy przy poprzedniej wycieczce i to wobec urzędów celnych w Suchej Górze, położonych przecież przy linji kolejowej, wkroczyliśmy odważnie na teren Spisza. Wybiegło dwóch celników, przyczem nastąpiły pertraktacje z powołaniem się na moją nawet wizytę na zamku Hradczyńskim w czasie zjazdu geografów słowiańskich w Pradze w czerwcu 1924 r., i ostatecznie groźni celnicy wpuścili moje towarzyszki w terytorjum państwa czesko-słowackiego.

Wieczorem dnia tego dotarliśmy do schroniska przy Zielonym Stawie Kieźmarskim, by nazajutrz spotkać się z geografami i wyruszyć na zwiedzenie lodowca. Dzień następny ani geografów, ani taterników nam nie groziło opadem śnieżnym. Tymczasem, na odgłos naszej rozmowy, doszły nas od gór wołania, w ślad za któremi idąc, spostrzegliśmy w ścianach Miedzianej Ławki naszych przygodnych towarzyszy warszawskich



Grupa Łomnicy.

przyniósł, choć pierwszych nawet wołanie słyszeliśmy. Wycieczka ta, wracając z okrężnej wyprawy dookoła Tatr, przeszła w pobliżu Zielonego Stawu, nie wstępując doń jednak z powodu przemęczenia uczestników. Spodziewając się nadejścia geografów, zostawiliśmy wiadomości w schronisku i ruszyliśmy ku górnym, wiszącym piętrom doliny Kieźmarskiej, kierując się w stronę tak zwanej Miedzianej Ławki pod Łomnicą. Wkrótce dopędziliśmy towarzystwo, złożone z trzech osób p. J. z Warszawy, którzy wybierali się na Łomnicę drogą przez Miedzianą Ławkę, część więc naszej drogi mieliśmy wspólnie odbywać. Dojście pod Miedzianą Ławkę odbywa się drogą górską, zaopatrzoną w klamry i łańcuchy, a prowadzącą do Dzikiej Doliny. Wspinając się przy pomocy rąk bardzo bystro po ścianie skalnej, minęliśmy stopień doliny wiszącej, i stanęliśmy w dolnych partjach Dzikiej Doliny, skąd roztoczył się piękny widok na olbrzymie płaty śnieżnych pól, wypełniających sąsiednią dolinę Miedzianej Ławki. Wkrótce stanęliśmy u czoła tych śniegów, które kończyły się charakterystyczną jamą, pozwalającą wejść do środka popod śnieżną pokrywę. Wejście to odrazu pozwoliło mi stwierdzić, iż pod powierzchnią śniegu znajduje się gruba do paru metrów warstwa lodu. Posuwając się ku górze, wkrótce pożegnaliśmy się z przygodnem towarzystwem i widząc parę wejść bocznych, wstąpiliśmy pod lodowiec. Roztoczyły się przed oczyma piękne groty lodowe, pozwalające stojąco się posuwać ,to znowu schylonym przechodzić do następnych. Doszliśmy również do pięknej podłużnej szczeliny lodowej, której jednak, ze względu na brak taternickiej asekuracji linowej, nie przekraczałem. W ten sposób wędrując, spędziliśmy pewien odstęp czasu pod lodowcem i dotkliwie zmarznięci wyszliśmy na światło dzienne, by szybko powrócić do ciepłego schroniska, zwłaszcza, że się zachmurzyło i

w miejscu bardzo niefortunnem, z którego i do góry i w dół ścieliła się niebezpieczna bardzo droga. Dysponując liną, nieużywaną nawet dotąd, ze względu na brak



Lodowiec Miedzianej Ławki.

turystów, z którymi przecież mieliśmy dokonać wejścia na górne partje lodowca, postanowiłem przyjść z pomocą państwu J. Udało mi się żlebem bocznym wydostać ponad raklinowych w skale i przy pomocy liny zaasekurować zejście, sam zaś drogą poprzednią powróciłem nadół. Wróciliśmy tedy wszyscy do schroniska i jeszcze tego samego dnia ruszyliśmy do Jaskiń Bielskich, spodziewając się tam zastać naszych geografów. Niestety, z przyczyn poprzednio wymienionych, nie doszło do tego, natomiast spotkaliśmy znowu p. J. z Warszawy, którzy zrezygnowali już z wejścia na Łomnicę, a pragnęli zwiedzić słynne Jaskinie Bielskie. Wieczorem zeszliśmy się przy stole restauracyjnym, gdzie za udzieloną pomoc spotkała nas nagroda w postaci obfitej ilości tokaju, o wiele tańszego niż u nas.

Nazajutrz z memi dzielnemi towarzyszkami pp. O. i J. wróciliśmy, maszerując rekordowo przez Żar, Jaworzynę, Spiską do Zakopanego. Myśl jednak o lodowcu, o dokładniejszem poznaniu jego życia, nie opuszczała mię i wkrótce potem korzystając z piękniejszej pogody wyruszyłem znowu w stronę pięknego Zielonego Stawu. Spędziłem tam jeden przepiękny dzień w dolinie Miedzianej Ławki. W czasie porannych godzin, gdy dolina spowita była w zupełnym cieniu, lodowiec i śniegi go zalegające okazały martwotę nocnego zamrożenia, spokój na powierzchni, a koloryt ciemno-szary. W południe jednak, gdy słońce zajrzało z góry i oświetliło dolinę, martwota ustała, naświetlone masy śnieżno-lodowe poczęły gwałtownie jaśnieć, lodowiec, dotąd senny, ożył. Liczne strumienie topniejących wierzchnich śniegów, poczęły spływać, wpadać z szumem do szczelin, głazy zaś dotąd przymarznięte i jakby stężałe, ruszyły, powodując potężną kanonadę wśród ciszy gór. (Dokończenie nastąpi).

BAJKA.

Pewnego razu zamknięto piękną królewnę Różę w srogim zamku, pilnowanym przez kolce-rycerzy jej matki. Wielu królewiczów przyjeżdżało, aby ujrzeć tę cud-królewnę. A trzech ich było, którzy najwytrwalej zabiegali o to, aby ujrzeć królewnę. Dwóch było braci: królewicze Deszczyk i Rosa. Trzeci zaś przyjeżdżał ze wschodu — królewicz Słońce. Ale matka-róża nielitościwie kryła swą córkę przed nimi. Tem usilniej więc zabiegali oni o to, aby ją ujrzeć.

Królewicz Rosa codziennie od wieczora aż do ranka siadywał przy listeczkach-drzwiach, za któremi kryła się królewna i łzami tylko starał się nakłonić groźnych strażników, aby mu bodaj przez szparkę między listeczkami dali popatrzeć na królewnę. Był to młodziutki, bardzo cichy i trwożliwy chłopczyk. Uciekał więc też zwykle, gdy rankiem nadjeżdżał królewicz Słońce. Ten znów złotem swem starał się zdobyć przychylność matki-róży, lub przekupić strażników i w ten sposób zobaczyć królewnę i zdobyć jej serce. Lecz i jemu to się nie udawało. Wreszcie od czasu do czasu, z jakiejś awanturniczej wyprawy wracając, wpadał królewicz Deszczyk szturmował do zamku „Różanego Krzewu", chcąc siłą zdobyć królewnę, lecz silne mury i dzielna załoga udaremniały jego zamiary. Rozgniewany tedy i zachmurzony, łając nieraz groźnym głosem swych rycerzy, odjeżdżał na dalsze podróże i przygody.

Ale i z królewną Różyczką nie mogła sobie rady dać matka, gdyż i jej z biegiem czasu zaczęło być zaciasno w jej pokoiku. Biegała więc po nim coraz niecierpliwiej i coraz trudniej było starym niańkom utrzymać w domu królewnę, którą bujna natura ciągła coraz silniej w wir życia. Widząc to królowa-Róża, choć z ciężkiem sercem, oznaczyła wreszcie dzień, w którym mają się przed królewną otworzyć drzwi jej mieszkania.

Mimo, iż trzpiotka była i śmieszka wielka z królewny i chociaż jako królewna bardzo była pewna siebie, to jednak mocno biło jej serduszko, gdy pierwszy raz otworzono podwoje.

Czekali już na nią wielbiciele. Królewicz Rosa, przyszedłszy już poprzedniego wieczora, wszystkie listeczki wszystkich niezliczonych roślin w ogrodzie zamku „Różanego-Krzewu" poubierał brylancikami i perełkami, a teraz stał tuż przy drzwiach, a w oczach jego błyszczały łzy, — łzy szczęścia i radości. — Był też i królewicz Słońce, który złotem zasypał wszystkie zamkowe dziedzińce, a teraz stał koło królewny Róży, a taki żar bił od niego i blask, że królewna odwracała od niego z lękiem swe oczy.

Był jeszcze i stary król-wdowiec Chrząszczyk, który przywlókł się po malutku, bo przeszkadzała mu olbrzymia tusza. Później dopiero, koło południa zjawił się królewicz Deszczyk.

Wszyscy starali się królewnie przypodobać i pozyskać jej serce, ale ta, jako, że trzpiotka i śmieszka była wielka, śmiała się, bawiła, ale żadnemu z królewiczów nie okazała ni cienia więcej życzliwości aniżeli innym. — Trwało tak dni kilka, aż wreszcie królowa-matka zapytała królewnę: „Cóż dziecko któryż z królewiczów ci się najbardziej podoba"? — Królewna roześmiała się: „Żaden, mamusiu moja; królewicz Rosa tylko płacze wciąż i łzy niewiadomo czemu leje; Słonko, taki chciwiec, myśli, że za złoto cały świat kupi; Deszczyk znów — nieokrzesany, wciąż tylko krzyczy; a Chrząszczyk... ha, ha, ha,... — ten już nawet chodzić nie może, za stołemby wciąż tylko siedział. — Nie, matuś żaden z nich mi się nie podoba".

Pokiwała tylko głową stara królowa, a królewna pobiegła, śmiejąc się do swych towarzyszy.

Mijały tak dnie za dniami, aż stało się nieszczęście. Królewna właśnie bawiła się na terasie zamku z królewiczem Słonkiem, gdy wtem jakiś straszny, ogromny smok pięciogłowy, wpadł skądś z powietrza na teras, odepchnął królewicza, pochwycił królewnę i uniósł ją z sobą daleko...

Żałoba i płacz wielki powstał w zamku „Różanego Krzewu". Nawet wszystkie roślinki w parku opuściły smutnie swe główki — i bardzo, bardzo smutno było w zamku. Królewicz Rosa z żalu w łzach się rozpłynął. Królewicz Deszczyk, bardziej zagniewany niż kiedykolwiek, wyruszył w świat szukać królewny, a toż

samo uczynił i Słonko, który po długich i mozolnych poszukiwaniach odnalazł królewnę w zamku Ludzi. Zadrżał królewicz, gdy ją zobaczył. — królewna uwięziona z kilkunastoma towarzyszkami wydawała już ostatnie tchnienie, — resztą słabnącego głosu szeptała jeszcze coś, lecz królewicz tego już nie słyszał. Nie mogąc pomóc królewnie, odjechał do swego zamku „Chmur“ i ukrył za jego murami swą żałość i gniew.

I tak skończyła się baśń życia królewny-Róży...

Janusz Huczyński.

TEATR A KINO.

(Garść myśli).

Teatr czy kino?

Teatr! Palmę pierwszeństwa musimy przyznać twórczej, doniosłą w dziejach kultury odgrywającej rolę, — Sztuce teatralnej — Sztuce żywego słowa! Słowo bowiem, to natchnione, a pięknie oddane słowo pozostanie na wieki najdoskonalszym środkiem uszlachetnienia i budzenia podniosłych myśli i wzruszeń w duszach ludzkich.

I gdy wnikniemy we właściwości psychiki ludzkiej, odchylając zasłony sferę uczuć kryjące, zobaczymy drzemiącą w naturze człowieka, ukrytą potrzebę kultu żywej sztuki, potrzebę naturalną, a nie sztuczną, stworzoną i przyswojoną rozwojem techniki.

Z powodu tego największego braku — braku żywego słowa — musi kino ograniczać swój repertuar do rzeczy jaskrawych, gdzieby silne wrażenia wzrokowe pozwoliły zapomnieć o braku wrażeń słuchowych. Nie może się kino pokusić o wystawienie sztuk subtelnych, ideowych, polegających na konflikcie uczuć głębokich, — ale delikatnych; — nie może przedstawić komedji, gdzie dowcip polega w znacznej mierze na grze słów; — obce mu też muszą pozostać sztuki o wykwintnym, pełnym artystycznej wartości djalogu.

Kino może jedynie imponować — ruchem! Tak, żywą, niezwykłą, błyskawiczną akcją, która da się ująć w szereg silnie działających obrazów.

„Ręka, która zabiła“ — (dramat salonowo-senzacyjny! dla modzieży bezwarunkowo wzbroniony!), — „Krwawiąca lilja“ (hyper-szlagier!), „W szponach tygrysa“ (film kryminalno-erotyczny), — „Dzielnica hańby“ (gwóźdź sezonu), „Trup w wagonie sypialnym“, itd. — oto tytuły „arcydzieł“ filmowych, tytuły, krzyczące różnokolorowemi afiszami na rogach ulic.

Kino działa na zmysły człowieka, burzy krew, daje społeczeństwu, złaknionemu strawy ostrej, potrawę odpowiednio podniecającą. Ale nie jest to pokarm, zdolny podnieść i uszlachetnić!

Kusi się wprawdzie kino czasem o przedstawienie arcydzieł literatury światowej, zwłaszcza głośnych powieści. Ale kto widział zniekształcone „Quo vadis?“, przerobionych „Trzech Muszkieterów“, ohydnych „Chłopów“, czy senzacyjnego „Don Karlosa“, — ten traci resztki sympatji dla kina.

Więc kino niepotrzebne? — tylko deprawuje, niszczy i burzy.

Jedno ma tylko kino szerokie i piękne pole do działania: stworzenie filmów naukowych i propagandowych. Bo — jak powiedział jeden z znawców kina [1]) — „dwie istnieją dziś potęgi, władne propagować na daleki świat dzieje życia umysłowego i kulturalnego, tworzące niejako ognisko skąd rozchodzi się duch ożywczy, strumień, z którego spływa budząca duszę i umysł idea i myśl uświadamiająca i docierająca do najdalszych zakątków, nie wyłączając chat wieśniaczych. Jedną z tych potęg... prasa perjodyczna, druga zaś... to film, mający tę jeszcze przewagę nad prasą, że myśl i idee zaszczepia za pomocą zobrazowywań wszelkich zjawisk i przeżyć, które, działając na wzrok i mózg, wdrażają się łatwiej, niż droga słowa drukowanego“.

Ma więc kino piękne przed sobą zadanie! Ale b. rzadko je spełnia!

A teatr? — Teatr nie jest budą, pomalowaną różnokolorowo, w której aktorzy na wzór błaznów starają się zabawić publiczność; teatr jest wiernem odbiciem życia, z niego wyrósł i z niego czerpie swoje siły żywotne. Artysta, który rozumie swoje zadanie w społeczeństwie, przejmując się przeżyciami nieistniejącej postaci, stwarza pewien typ lub pewien odłam ludzkości, chce ukazać społeczeństwu jakiem ono jest, porusza je do głębi lub rozśmiesza do łez, każe mu płakać i śmiać się razem z sobą, wzruszać się i przejmować, znajdywać się w kłopotliwych sytuacjach i odszukiwać z nich wyjście. Jednem słowem stawia widza i słuchacza w kalejdoskopie życia i każe mu patrzeć na wszystkie jego odcienia.

Każe nam czuć i myśleć!

Toteż rola artysty scenicznego jest niewątpliwie trudniejszą od roli artysty filmowego. Aktor musi nam dawać wrażenia bezpośrednie, przemawiać wprost do nas, poruszać nasze uczucia przez modulację głosu, mimikę ruchów i twarzy. Aktor nie może „grać“, on musi być odtwarzaną postacią. Nie wolno mu „spaść z tonu“.

Teatr kształci i wychowuje, podnosi i uszlachetnia.

Nie może tylko teatr pozwolić sobie na ciągłe zmiany akcji, na roztaczanie przed oczyma widza wszystkich cudów natury, wszystkich dziwów. To stworzyć może kino; kino może nam ukazać piękno naszej ziemi, ale tylko wtedy, gdy zdjęcia krajobrazów są... prawdziwe.

Niech więc kino wyświetla filmy naukowe i propagandowe, niech wyczarowuje przed nami cudny, fantastyczny świat baśni (exemplum: śliczny „Złodziej z Bagdadu“), ale niech sobie wyperswaduje uszlachetnianie ludności filmami senzacyjnemi, kryminalnemi, pornograficznemi!

Zofja Grochowska (Wilno).

[1]) Dr. A. Fruchtman — „Ekran i Scena“ Nr. 4, r. 5.

MOJA SZKOŁA.

Wkrótce opuszczę prawdopodobnie mury gimnazjalne i to na zawsze. Jeszcze trochę wytężonej pracy, trochę wysiłków i miną bezpowrotnie te „bezgrzeszne lata“, miną jak sen, jak zresztą w życiu wszystko mija...

Mogę powiedzieć, że poniekąd mam już szkołę poza sobą i mogę rozważać wspomnienia, jedno za drugiem, jak się obraca kartki bardzo drogiej, dobrze znanej książki...

Podobno w chwili ukończenia gimnazjum ogarnia człowieka uczucie jakieś wielkiej radości. Czy to jednak naprawdę powód do tak wielkiej radości? Już dziś widzę, że te szkolne lata, to najszczęśliwszy okres życia, życia wolnego od troski, pełnego wesołości — gdzie każdy dzień przynosi coś nowego.

O znaczeniu szkoły tyle już mówiono i pisano, że ja chyba nic nowego nie wymyślę; chcę rzucić tylko garść wspomnień i myśli, które mi się nasuwają.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że człowiek jest istotą towarzyską; nie możemy sobie poprostu wyobrazić człowieka żyjącego zupełnie samotnie, niejako poza nawiasem, bo człowiek koniecznie potrzebuje dla swego rozwoju tak psychicznego, jak i fizycznego — towarzystwa. — Pierwszem wejściem, zetknięciem, „zanurzeniem się“ w gromadzie jest szkoła.

Gdy zacząłem chodzić do szkoły panującem we mnie uczuciem była radość, radość tak wielka, że aż prawie dotykalna, zdawało się, że to „ktoś“ czy „coś“ siedzi pod lewą kieszenią niebieskiego mundurka i cieszy się, aż ręce zaciera!

Gdy przychodziłem ze szkoły do domu, cały dzień zamęczałem domowników opowiadaniami, jak to było, co to było, jakeśmy fortecę na schodach zdobywali, jakem zapomniał, że pod oknami chat wiejskich malwy rosną, a powiedziałem, że pokrzywy, jakeśmy się gonili, jakeśmy kasztanami dziurę w niebie wybić chcieli, a wybili tylko... szybę...

Taki szczęśliwy byłem, gdy codzień wieczór zasypiałem z myślą o szkole, o, tego pewny jestem, że zasypiałem z uśmiechem na ustach...

Największą karą dla mnie była groźba niepójścia do szkoły.

Tak więc pierwszym darem życia szkolnego była radość.

Potem chorowałem dość długo, kiedy przyszedłem wreszcie do szkoły zauważyłem, że coś się zmieniło: wszyscy powyrastali, głosy skrzypiące, ironiczne uśmiechy, pósłówka — coś nieokreślonego, nowego...

Potem głosy przestały skrzypieć, a tymczasem we mnie skrystalizowały się wyobrażenia i pojęcia, dotychczas drzemiące w podświadomości. Czytałem dość dużo, miałem naturalnie wyrobiony „swój“ pogląd na świat i zacząłem pilnie obserwować klasę jako minjaturę tego świata. Bo wszystko w takiej klasie znaleźć można, naprawdę, wszystko to, co w późniejszem życiu rozwinie się silniej i dobitniej wystąpi.

W szkole uczy się jeden od drugiego dobrych i złych rzeczy, budzą się sympatje i antypatje, zacierają się różnice klasowe. W klasie zaczyna się nauka psychologji, psychologji eksperymentalnej i t. d. Człowiek rad nierad, zaczyna się nad samym sobą zastanawiać, a co za tem idzie, stara się poprawić. — W szkole rozwija się szlachetna rywalizacja.

Wielką zasługą szkoły jest to, że zatraca się w niej zbyt wybujały indywidualizm; czuję się dumny, że jestem członkiem tej właśnie klasy, która tam to, a to zrobiła. I to nie ja, ale moja klasa tego dokonała; i z tego właśnie jestem taki dumny. Pod tym względem wielkie zasługi położył sport i to sport drużynowy.

Dużo zdaje mi się napisano łzawo — sentymentalnych powieści na temat koleżeństwa i ofiarności koleżeńskiej. Dużo w tem przesady; kiedyś może inaczej było, dziś znowu inaczej jest. — Zdaje mi się, że niema takiego, któryby sprzedał płaszcz, by kupić koledze książki, natomiast wiem, że wczas podpowiedziane słówko obowiązuje do prawdziwej wdzięczności. Ale żart na stronę; te tysiące drobnych przysług oddanych koledze jest małym, ale dobrym zadatkiem na przyszłość, że może kiedyś, stosownie do warunków, wyświadczy się przyjacielowi usługę, prawdziwie bezinteresownie, co wtedy będzie może trudniejszem. — Że niektóre przyjaźni z ławy szkolnej trwają długie lata, to pewne. — Dlaczego szkoła właśnie łączy ściślej niż wszystko inne, — nie wiem. A i to jest ważnem, że potem, w ciężkich chwilach w życiu ma się oparcie.

Z tego wszystkiego co napisałem, wynika, że w szkole kształtują się charaktery, że w szkole wchodzi każdy na własną drogę i dlatego tak ważnem jest, by go na właściwą drogę skierować. — Zadanie to spełniają nauczyciele i w tem leży lwia część ich zasług.

Kończę już, bo naczelny redaktor i tak połowę, o ile nie wszystko, poskreśla. — Kocham Was Nauczyciele moi; to coście mi dali jest stokroć większem i cenniejszem niż konjugacje, czy suma kątów w trójkącie. A gdy mi kiedyś w życiu smutno, ciężko będzie — to wspomnę Was i słowa Wasze; i to mi doda otuchy i ochoty do dalszego życia...

Kocham Was koledzy moi, towarzysze doli i niedoli szkolnej, każdy ma u mnie swój kącik z napisem... „komar“, „clown“ i t. d. co tylko Wy i ja rozumiemy.

Kocham Was mury szkolne i ławki, tak niemiłosiernie pocięte i popisane...

Kocham Was wszystkie wspomnienia moje całem sercem, duszą i nigdy Was nie zapomnę.

Jerzy Rattler.

„AMO“.

Wróciłam się niestety
Do pierwszej, drugiej klasy.
Odmieniam pięknie „amo“
Przez wszystkie formy, czasy.

Odmieniam z entuzjazmem,
Jakby przed zryciem w strachu;
Aż wróble uliczniki
Małpują mnie na dachu.

Aż stary zegar cyka
Bez przerwy na tę nutę...
Takie to moje „amo“
Fatalnie już obkute.

A ja, niezmordowana
Powtarzam wciąż to samo:
Amabam et amabo,
Amor, amabor, amo!

Stella.

U OSTREJ BRAMY.

Poranne blaski wschodzącego słońca ozłociły stary gród Giedymina, Wilno.

Pokraśniały i nabrały życia stare mury wiekowych, ku ziemi chylących się domków, rozjaśniły się wąskie zaułki, które, zda się, nigdy nie widzą słońca zaświeciły krzyże na wieżach kościelnych.

Owiany jakiemś dziwnem, poważnem tchnieniem, bijącem z tych starych domów, ulic, zaułków, z każdego zda się kamienia szedłem do największego sanktuarjum Wilna, do Ostrej Bramy.

Szedłem sam... poważny... przejęty... skupiony...

Na ulicach niebyło nikogo. Minąłem kilka starych



Wilno: Ostra Brama. Ze zbiorów Prof. J. Sas Zubrzyckiego.

kościołów, przeszedłem kilka ulic, zaułków,... zbliżałem się do stóp królowej Ostrobramskiej.

Cisza była zupełna. Miasto spało.

Chwilami tylko świergot, zbudzonych ze snu ptaków napełniał powietrze, chwilami lekki powiew wietrzyka poruszał gałęziami drzew, chwilami świętą ciszę poranną przerwał dźwięk dzwonka z wieży kościelnej.

Nie mogłem opanować przechodzącego mię mimowoli drżenia!

Jakto?... więc za chwilę stanę tam, na tem samem

miejscu gdzie klęczał Mickiewicz, gdzie tylu filaretów i filomatów zanosiło do królowej nieba i ziemi prośby o siły i wytrwanie?...

Więc za chwilę zobaczę to miejsce, z którego w ciężkich dniach niewoli, tyle tysięcy bohaterów, i męczenników sprawy narodowej czerpało otuchę i moc wytrwania?

Szczęściu własnemu nie chciałem wierzyć.

Szybko szedłem ulicami. Minąłem kościół św. Anny, skręciłem w lewo.

I wtem... ujrzałem skromną, cichą, a jednak tak potężną, dreszczem przejmującą a mimo to dziwnie pociągającą siedzibę Królowej Ostrobramskiej.

Odkryłem głowę.

Marjo!... Marjo!...

Przed obrazem zasłoniętym jeszcze białym atłasem płonie lampka. Skromne mieszkanie ma Ostrobramska Pani! Nie we wspaniałym ołtarzu, wśród złota i klejnotów, nie w kościele pięknym, nie we wspaniałym pałacu... Nie!...

Ona zeszła do swego polskiego ludu nisko, chciała być z nim, chciała, by każdy przechodzień mógł ją widzieć, i czerpać otuchę i moc.

I dlatego tu mieszka, tuż ponad głowami przechodzących ludzi, w małej galeryjce każdemu widoczna, do każdego uśmiechnięta.

Skromne mieszkanie. Ale Jej tu najlepiej wśród ludzi. Nie otacza Jej przepych, lecz miłość i przywiązanie, nie złoto i klejnoty, lecz wierne serca!

Marjo!... Marjo!...

Ciszę poranną przerywa dzwonek, wołający lud na mszę św.

Schodzą się ludzie, stają z odkrytemi głowami w ulicy, wpatrzeni w obraz. Wszyscy czekają chwili, kiedy Ona.., Pani..., Królowa... spojrzy na nich!

Stanąłem w podsieniu z boku ulicy. Z dziwnem uczuciem w sercu patrzyłem na zasłonięty obraz.

I nagle ponad te skupione, pochylone, ciche i rozmodlone wielkie tłumy ludu popłynęły rzewne, głębokie, tony organów.

Wyszła msza. Obraz odsłonięto. I ukazała się wszystkim Ostrobramska Pani!...

Marjo!... Marjo!...

Wieńcem złotych promieni otoczona spogląda na wszystkich, miłosnem spojrzeniem obejmuje ludzi klęczących u swych stóp, i Wilno swoje i Polskę całą...

A z wszystkich serc zrywa się jedna prośba, i jeden głos idzie do Jej stóp: — Pod Twoją obronę!

— — — — — — — — — —

Skończyła się msza. Ludzie rozeszli się, ja stałem, nie mogąc otrząsnąć się z dziwnego uczucia jakie mną opanowało!

Po jednej stronie miałem Ostrą Bramę, obok patrzyłem na stare mury klasztoru Bazyljanów.

Przymknąłem oczy...

I stanęła przed memi oczyma ponura cela klasztorna.

Zdawało mi się, że słyszałem, wypływające z tych murów, zbroczonych krwią młodzieży, która nie dała w sobie zabić ducha narodowego, słowa wielkiej Improwizacji...

Zdawało mi się, że przedemną przeleciał gdzieś w dal długi wąż kibitek, znany z opowiadania Sobolewskiego...

Zdało mi się, jakbym przed sobą widział wieszcza...

Marzyłem...

Marzyłem o tych cierpieniach, o tych wysiłkach narodu, o bohaterskiem poświęceniu się młodzieży.

I przypomniała mi się bohaterska obrona Wilna z 1920 roku!...

I czyjeż to dzieło? komu zawdzięczać mamy to, żeśmy przetrwali i, że jesteśmy?

Zrozumiałem, że tylko Jej... Królowej Ostrobramskiej... Pani..

Ona, która krzepiła nas w dniach niewoli i teraz nas nie opuściła, lecz z swego skromnego mieszkania czuwa nad nami!

Spojrzałem na Marję. Lecz już nie ujrzałem Jej!

Obraz zasłonięto... A mimo to na ulicy klęczało wiele osób.

I długo jeszcze stałem, nie mogąc odejść z tego miejsca.

A miasto wrzało już życiem.

Lech Ziołkowski.

Wilno, lipiec.

NASZ SEZON WIECZORKÓW I PRZEDSTAWIEŃ.

Dużem powodzeniem cieszyły się przedstawienia sztuki pt. „Róże św. Teresy", wystawionej przez młodzież Państw. Gimn. Żeńskiego jeszcze przed wakacjami, a „wznowionej" w b. roku szkolnym. Dziwię się tylko, że kierownicy tych przedstawień, urządzanych w teatrze im. J. Słowackiego lub „Popularnym", wybrali na pierwsze publiczne występy tego gimnazjum tak słabiutką sztuczkę i tyle czasu i pracy poświęcili, by rzecz ta w wykonaniu młodziutkich „artystek" jakoś na scenie wielkiej ożyła i barw nieco nabrała. A przyznać trzeba, że wysiłki te na marne nie poszły: „aktorki" i „aktorzy" (oj, ci „aktorzy"!) ruszali się po scenie dość umiejętnie i... w nieumiejętnej często recytacji roli, zacierali wady stylu i wiersza.

Z wykonawców na wyróżnienie zasługują: wybitnym talentem obdarzona p. W. Tarnawska (Matka), kol. J. Rymarówna, z poświęceniem dźwigająca brzemię prawdopodobnie głównej roli, i kol. Felkówna, której Staś ogólnie się podobał.

Święto swego Patrona, św. Stanisława Kostki, czciła także młodzież licznemi porankami, z pośród których najpiękniejszym był bezsprzecznie poranek, urządzony przez młodzież Szkoły Ekonomiczno-Handlowej. Na program złożyły się: przemówienie prof. Kozłowskiego, produkcje orkiestry symfonicznej (dyr. prof. Petelenz), chóru mieszanego (dyr. prof. Blochowa), tria smyczkowego (kol. Bełdowski, Jasiński, Suchanek), oraz piękne deklamacje kol. kol. Maruniakówny, Satałówny, Kwaśnego i entuzjastycznie witanej, absolwentki b. A. K. p. Ireny Kociołkiewiczówny. Nad całością czuwał prof. A. E. Balicki. Poranek ten stał na bardzo wysokim poziomie artystycznym, do czego nas zresztą ta szkoła przyzwyczaiła.

Niestety, nie można tego samego powiedzieć o wiel-

kiej Akademji, urządzonej w teatrze przez Krak. Komitet Jubileuszowy. Tam ratowały poziom artystyczny jedynie produkcje mistrzowskiej orkiestry 20 pp. i deklamacja p .Olmy. Przedstawienie sztuki ks. Alpińskiego „Do wyższych ja rzeczy stworzony“, odegranej przez uczniów Miejskiej Szkoły Dramatycznej, pod kierunkiem p. M. Jednowskiego, świadczyło: o braku lepszej sztuki osnutej na tle przeżyć Świętego, i braku dobrych sił w szkole dram. Specjalne uznanie należy się wykonawcom ról: Stanisława Kostki i jego ojca, kasztelana.

Dnia 15 listopada u. r. urządziło Semin. im. M. Reja wieczorek ku uczczeniu 10 rocznicy śmierci H. Sienkiewicza. Program (poza koncertem „pożyczonej“ orkiestry mandolinowej P. G. Z.) — słaby, a ukoronowaniem jego było odegranie komedji Sienkiewicza „Zagłoba swatem“. Możnaby się sprzeczać, czy wystawienie tej fraszki scenicznej jest odpowiedniem uczczeniem rocznicy śmierci znakomitego pisarza, — w każdym razie nie można obecnie czynić tego, co uczyniło Seminarjum, by role męskie ...grały panny! (Działo się to 15 listopada 1926 r.).

Rewja „Że studecikiem jestem ja“..., wystawiona przez Kółko Dramatyczne gimn. IV. w grudniu u. r., — to zlepek często mało dowcipnych kawałków, któremi bawili publiczność głównie kol. Lewin i Kirschner, autor pomysłowej i dość udatnej humoreski: „Wielkie Nic“. Prócz tych dwóch wspomnianych już komików, wyróżnił się w „Złotym Cielcu“ Dobrzańskiego kol. Krzyżanowski. Miłą Emmą była kol. Warczewska (z P. Gimn. Żeńsk.). P. Chmielowa śpiewem, zaś kol. Kleczewski grą na pile urozmaicili wieczorek. Wykonawcami sumiennie się opiekował p. Kustowski, art. dram.

Państwowe Gimnazjum Żeńskie, zachęcone powodzeniem zeszłorocznego wieczoru muzyczno-wokalnego, urządziło w grudniu, w sali Starego Teatru, podobny wieczór urozmaicony popisami tanecznemi. Wieczorek ten, który był prawdziwym wyrazem pracy szkolnej i pozaszkolnej uczenic i ich zamiłowań, jak również miarą ich uzdolnień, odpowiedział w zupełności wymaganiom artystycznym i estetycznym. Przyczyniło się do tego sumienne opracowanie całości.

Partję deklamacyjną („Bajki“ Glińskiego) objęła kol. Podobińska Marja, posiadająca już rozgłos dobrej i zdolnej deklamatorki, nie potrzebuję więc tego specjalnie podkreślać. Orkiestra mandolinistek, jedna z najlepszych w Krakowie, prowadzona przez prof. Ciechanowskiego, chór gimnazjalny (dyr. prof. Matusikówna) za pieśń Kratzera: „Na nieba tle“... zbierali zasłużone oklaski. P. Szafrańcówna, roporządzająca miłym sopranem, odśpiewała kilka aryj operowych; młodociana pianistka kol. H. Ekierówna (kl. I.) popisywała się wcale dobrą grą na fortepianie. Kol. Landaurówna, zdolna — jak słyszałam — pianistka, była stremowana, czy niedysponowana, w każdym razie wybrała sobie trudne do wykonania utwory. Największem uznaniem cieszył się, nagrodzony formalnie burzą oklasków, gavotte, tańczony w stylowych kostjumach przez uczenice kl. VIII. Zasługa to prof. Petelenzowej, niestrudzonej krzewicielki tańców rytmicznych w tej szkole.

Dwa tylko życzenia należałoby jeszcze dodać, by gimnazjum to częściej urządzało podobne wieczorki, a jak najmniej przedstawień w rodzaju „Róż św. Teresy“, — i żeby na takich wieczorkach kierownicy dodali więcej deklamacyj, bo kilka dobrych deklamatorek ta szkoła posiada. Podkreślić jeszcze muszę pracę wszystkich uczenic, pragnących, by wieczór wypadł okazale i by dochód na „Bratnią Pomoc“ uczenic P. G. Ż. był jak największy. Objaw — rzadko w innych szkołach spotykany.

Miłą rozrywką dla małej dziatwy była „Szopka Krakowska“, wystawiona przez P. Seminarjum męskie. Kierownicy artystyczni p. Tadeusz Estreicher i prof. Konior dołożyli starań, by wszyscy byli zadowoleni. Cel swój osiągnęli, tylko chóry i soliści mieli głosy przerażająco zachrypnięte i skrzeczące. Raziły również nieproporcjonalnie wykonane marjonetki.

Wieczorek, urządzony staraniem Koła L. O. P. P. uczniów gimn. IV., wzbudził większe zainteresowanie niż poprzednia „rewja“, dzięki dobrej reklamie, „bujdzie“ z Wyrwiczem itd. Postęp na każdym kroku! Doskonały „jazz-band“; pierwszorzędny sufler, przypominający donośnym głosem swego kolegę (po fachu) z miejskiego teatru! Odegrano dwie komedje:

1. „Pokój do wynajęcia“: b. dobra p. Niemczykówna, dobre epizody: p. Senowskiej, kol. Krzyżanowskiego, Rozwadowskiego, dobra p. Chmielowa; kol. Kirschner i Lewin słabsi.

2. „Stryj przyjechał“. Wszyscy zasługują na wyróżnienie: p. Chmielowa, p. Niemczykówna (przemiła Zuzia!), kol. kol. Lewin (doskonały) Krzyżanowski, Kirschner (kapitalna sylwetka dorożkarza). Kol. Jankowski lepszy niż zwykle. Reżyserował te komedyjki p. Senowski art. dram. Był jeszcze koncert na pile kol. Kleczewskiego, którym się łata wszystkie „dziury“ w programie, i pokaz sztuk magicznych p. Ramigani.

Wieczorek, urządzony ku czci A. Mickiewicza staraniem kl. VII. gimn. św. Anny (12 luty 1927) nie wzniósł się ponad przeciętne wieczorki. Zawinili słabi wykonawcy. Pomińmy więc słowo wstępne, wypowiedziane bez zapału, a nawet zrozumienia treści, produkcje chóru, deklamację „Pieśni Wajdeloty“, a powiedzmy kilka słów uznania kol. kol. Gutmanowi, Miarczyńskiemu, Nowickiemu i Zachemskiemu za ich udatne występy muzyczne. Były to najlepsze punkta programu. (Tylko, co ma np. Bacha: „Frühlings Erwachen“ wspólnego z Mickiewiczem — nie wiem). Deklamacja kol. Cieślara („Koncert Jankiela“, — z towarzyszeniem fortepianu) miejscami dobra, miejscami słabsza. Na zakończenie odegrano, pod kierownictwem art. dram. p. Marjana Jednowskiego, II akt z dramatu Mickiewicza „Konfederaci Barscy“. Na czoło wykonawców wysunął się kol. Stożek, z zapałem i uczuciem deklamujący rolę Kazimierza Pułaskiego. Na wyróżnienie też zasłużyli kol. Korcala (ks. Marek) i kol. Kasprzyk (Zbroja). Orkiestra gimnazjalna wciąż pracuje.

* * *

Kółko dramatyczne uczniów gimn. św. Jacka wystawiło w lutym na scenie Teatru Popularnego „Mindowe“ Słowackiego. Wprawdzie nie grano tej sztuki poraz pierwszy w Krakowie, jak to szumnie głosił afisz (a czemu się recenzenci nie sprzeciwiali), bo „Mindowe“ poraz pierwszy grany był jeszcze w Starym Teatrze, między rokiem 1860—65 z Antoniną Hoffman w roli Aldony. Nie przeszkadza to jednak wcale myśli przewodniej przedstawienia, myśli, jaką sobie wytknął kierownik i reżyser prof. Piękoś, by młodzież zbliżyła się do tego utworu i stworzyła postacie i sytuacje samo-







Marja Podobińska, Stanisław Stelczyk i Wanda Tarnawska wyróżnili się b. korzystnie w amatorskiem przedstawieniu: „Mindowe" Juljusza Słowackiego.

dzielnie, na podstawie własnych przemyślań, a nie naśladowała kreacyj zawodowych aktorów. Prof. Piękoś i Pochmarski cel swój osiągnęli, bo przedstawienie to zaliczyć można do wcale udatnych, zwłaszcza jeżeli się przymknie oczy na brak lepszych kostjumów, dekoracyj, kiepską dykcję kilku wykonawców a fatalną odtwórcy roli głównej.

Pisać ocenę gry młodych wielbicieli sztuki dramatycznej to znaczy — śpiewać peam ku czci obu wykonawczyń ról kobiecych. P. Wanda Tarnawska, w niewdzięcznej roli starej, ślepej Rognedy, imponowała głębokim a nieprzeszarżowanym tragizmem; zaś kol. Marja Podobińska zachwyciła nas pięknym, lirycznym głosem, subtelnie przemyślaną, ujmującą i bardzo interesującą grą. Wątpię, czy która z obecnych uczenic szkoły dramatycznej (a nawet najmłodszych artystek krak. teatru) wywiązałaby się lepiej z tej trudnej roli. — Z wykonawców na zupełne uznanie zasłużył jedynie kol. Stelczyk (Trojnat). Kol. Bednarczyk (Hejdenrich) poprawny. Dobrym też był kol. Grodzicki w epizodycznej roli Wojsiełki. Kol. Hamerlak (Mindowe) grał inteligentnie, ale „kreacja" — chybiona Dowmunt b. słaby! Piękna scena śmierci Lutuwera była niepotrzebnie opuszczona.

* * *

Ruchliwe gimnazjum IV. wystąpiło 9 marca b. r. (w sali Teatru Popularnego) z „Wieczorem Trzech Wieszczów". Słowo wstępne, pięknie napisane, straciło wiele w błyskawicznem wygłoszeniu kol. Woźniakiewicza. Chór, pod kierunkiem ks. Wojtusiaka dobry. Popisy muzyczne: kol. J. Ekiera (fortepian), Mikulskiego (wiolonczela) a zwłaszcza kol. Wapiennika (skrzypce) — bardzo dobre. O deklamatorach: kol. Jankowskim i Peteckim nie mogę nic więcej powiedzieć ponad to, że ustawiali sobie krzesło na środku sceny i na niem opierali się, i że wiersze dość dobrze opanowali pamięciowo, choć to nie każdemu zaimponuje. Mam kolegę, który umie na pamięć 3 księgi „Pana Tadeusza" i 2 „Iljady" (nb. ich nie rozumiejąc!). W „Konfederatach Barskich" (akt II) starannie przygotowanych przez art. dram. p. G. Senowskiego, jedynie kol. Krzyżanowski, jako ks. Marek, mnie zadowolnił! Dobre „gierki" mimiczne miał kol. Berger (Zbroja), dość dobrze grali kol. Gundelach (Choisy) i Rajtar (Wojewoda), zaś kol. Jankowski (Pułaski) bardzo słaby! Orkiestra pseudo gimnazjalna dobra.

* * *

Pierwszą część „Wieczoru śmiechu", urządzonego przez P. Semin. męskie, wypełniła: orkiestra, orkiestra i jeszcze raz — orkiestra. Był wprawdzie jakiś „niedysponowany" chór i były jakieś dość dobre monologi, ale muzyka (zresztą zupełnie dobra) to wszystko zagłuszyła. W bluetce „Protekcja" znakomicie (jak na amatora) grał odtwórca roli bezrobotnego inteligenta. Dyrektor banku miał wygląd i maniery kamerdynera u Potockich, o których wciąż wspominał. W komedyjce „Jeden z nas musi się ożenić" obowiązek bawienia publiczności przyjął na się wykonawca roli profesora matematyki i z obowiązku tego należycie się wywiązał. Drugi profesor (filozof) znośny; zato nieznośnie wykonawczynie ról kobiecych, zwłaszcza Zosi!

* * *

Dnia 8 kwietnia b. r. odbył się w Teatrze Popularnym, staraniem uczniów gimn. św. Jacka, jeszcze jeden wieczorek ku czci Adama Mickiewicza. Anonimowy kierownik tej imprezy ponosi winę, że wieczorek ten (który się zaczął o 7, a skończył dobrze po 11 godzinie w nocy!) pozostawił po sobie niezbyt miłe wspomnienie. Mnie ze wszystkich punktów programu podobała się najwięcej — poza b. dobrem solem skrzypcowem — deklamacja „Powrotu Taty" malutkiego kol. Sikory (kl. II), którego ładny głos i dobra dykcja przydadzą się kiedyś przeróżnym kółkom dramatycznym, i dlatego pozwoliłem sobie „odkryć" jego nazwisko. Tylko te żywe ilustracje deklamacji były niepotrzebne i wywołały uśmiech na ustach, zwłaszcza tych, co pamiętają oryginalną

i ciekawą inscenizację tej ballady, dokonaną dwa lata temu przez ks. Dr. Prażnowskiego na dziedzińcu gimn. Sobieskiego. Także niepomysłowością grzeszyło zakończenie djalogu starca z dziecięciem (z I. cz. „Dziadów"). Lepszem było „Pożegnanie Konrada z Aldoną". W obrazach z „Pana Tadeusza", źle lub całkiem niewyreżyserowanych, wyróżnili się korzystnie Telimena, Hrabia, Konewka, Buchman. Liczne „efekta świetlne" przy „Polonezie" były zbyteczne, najlepiej było, gdy na scenie było całkiem ciemno.

Prawda, występował jeszcze wcale dobry chór gimnazjalny, i zespół muzyczny, który rzadko można było usłyszeć. Było jeszcze dobre solo fortepianowe, a także nadprogramowe, nieprzewidziane epizody z zepsutą kurtyną i z wpadaniem tancerek do budki suflera.

Stanisław Witold Balicki.

KĄCIK SZACHOWY

pod redakcją Władysława Hetpera.

Zadanie Nr. 1.

Wł. Hetper (oryginalne)

mat w 2 posunięciach (za rozw. 1 punkt).

Białe: Kb2 Dg 7, We6, f5, Gf3, f8, Sc7, e5; piony: b3, d2 (10 figur).

Czarne: Kd4, Df7, Wh4, h6, Gb7, Se7, f1; piony b6, c6, d3, f4, f6, h3, h5; (14 figur).

Zadanie Nr. 2.

G. Cheney.

mat w 3 posunięciach (za rozw. 2 punkt.).

Białe: Ke1, Wg5, g8, Gd4; pion: h4 (5 figur).
Czarne: Kh6, Ge5 piony: e2, h5, h7 (5 figur).

Zadanie Nr. 3.

P. Mikkelsen.

mat w 7 posunięciach (za rozw. 5 punkt.).

Białe: Kd5, Wh8, Ge2, Sh3; piony: c2, c5, c6, e6, f4 (9 figur).

Czarne: Kg2, Gh1; piony: c4, e3, e7, f6, g3 h2, (8 figur.).

Ponieważ gra w szachy jest obecnie wśród młodzieży bardzo rozpowszechniona, zaprowadzamy w piśmie naszem stały „Kącik szachowy", w którym pragniemy dawać czytelnikom naszym — prócz innych — także partje i zadania młodzieży, dlatego prosimy o nadsyłanie nam swoich zadań i partyj. Prace własne, nigdzie jeszcze nieumieszczone, będziemy drukować jako oryginalne.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy I. Konkurs na rozwiązywanie zadań. Za rozwiązanie: 2-chodówki liczymy 1 punkt, 3-chodówki: 2; 4-chodówki lub końcówki: 3; a za rozwiązanie wielochodówki: 5 punktów. Za największą ilość punktów, osiągniętych w 3 pierwszych numerach przeznaczamy piękne premje książkowe. Rozwiązania należy nadsyłać wyczerpujące, ze wszystkiemi warjantami. Termin nadsyłania rozwiązań z tego numeru upływa z dniem 25 maja b. r. — (W. H.).



Kierownik naszego „Kącika szachowego" nie zaniedbuje także ćwiczeń Hufca Szkolnego.

Rys. Ferd. Lewkowicz

KRONIKA KRAKOWSKA.

= **PODNIOSŁA UROCZYSTOŚĆ W GIMN. SOBIESKIEGO.** Dnia 8 grudnia b. r. szk. odbyła się w gimnazjum Sobieskiego podniosła uroczystość — odsłonięcia portretu króla Jana III., pędzla prof. Stanisława Szwarca. Uroczystość, która zgromadziła licznych reprezentantów Kurji arcybiskupiej, rządu, szkolnictwa, wojskowości, świata artystycznego i młodzieży, rozpoczęła orkiestra dęta Zakładu „Marszem Sobieskiego", poczem — po odśpiewaniu przez chór hymnu „Bogurodzica Dziewica" — zabrał głos dyr. Pogorzelski i dokonał odsłonięcia obrazu. Za wspaniały portret i hojny dar zgotowała publiczność twórcy i ofiarodawcy gorącą owację. Następnie prof. U. J. Konopczyński wygłosił odczyt, w którym scharakteryzował epokę i działalność Sobieskiego. Po pięknych produkcjach zespołu smyczkowego, pod batutą kol. J. Rattlera, — wygłosił kol. S. Balicki, jeden z najlepszych młodych deklamatorów krakowskich, potężny poemat A. E. Balickiego „Hetman - Król", utwór, na tę uroczystość specjalnie napisany. Fragment z powieści „Na polu chwały" recytował kol. Bobrowski, obdarzony pięknym, lirycznym głosem; dużo młodzieńczego zapału włożył kol. Hetper w recytację urywku z „Pana Wołodyjowskiego". Pieśnią Konopnickiej (muzyka K. Garbusińskiego) „Na dział", śpiewaną przez b. dobry tym razem chór gimn. pod batutą prof. Garbusińskiego, i odegraniem przez orkiestrę dętą Zakładu (poraz pierwszy występującą) hymnu „Jeszcze Pol-

ska"... zakończono tę niezwykle podniosłą uroczystość, która pozostawiła u słuchaczy niezatarte wrażenie. Zasługa to kierowników poranku: prof. Figny i Szaflarskiego, wszystkich wykonawców i doskonałej organizacji. Ładną pamiątką były artystyczne programy z utworem A. E. Balickiego i reprodukcje obrazu. **J. Leśniakówna.**

= **O PORANKACH MŁODZIEŻY SŁÓW KILKA.** Leży przede mną Zaproszenie, które opiewa, że „staraniem Kółka Miłośników Radja uczniów Gimnazjum św. Anny w Krakowie odbędzie się (a raczej: odbył się już) w niedzielę 13 marca 1927 o godzinie 11 przedp. Poranek. — Część orkiestralną wykona „Związek Muzyków Polskich" oddział w Krakowie pod kierownictwem WP. Z. Glücksmana. Solo na pile z towarzyszeniem cytry wykona WP. Ławrusiewicz. Drugą część programu wypełnią interesujące produkcje prestigitatora - iluzjonisty WP. Ramiganiego. Dochód na cele naukowe. Wstęp 2.50, 2.00, 1.00 i 0.50". Na odwrotnej stronie tego ohydnie odbitego jakimś hektografem zaproszenia znajduje się wierszydło, zachęcające do składania datków na zakupno radja dla gimnazjum. Ale nie o to chodzi. Pragnę się podzielić kilkoma uwagami, czy takie (jak powyższy) poranki czy wieczorki, urządzane przez młodzież w murach własnego zakładu, mają rację bytu.

Zazwyczaj młodzież na szkolnych porankach popisuje się swemi — mniej lub więcej udatnemi — wynikami t. zw. pracy pozaszkolnej. Bo przecież w każdej szkole znajdzie się jakiś uczeń (czy uczenica), umiejący grać na fortepianie czy skrzypcach, znajdzie się znośny deklamator, jakiś śpiewak czy „baletmistrz", — i troszeczkę wysiłku, a jaki taki program się złoży, poranek się urządzi, rodzice, krewni, młodzież przyjdą, bo na takie rzeczy zawsze się chodzi, pieniądze (to będzie przecież głównym celem imprezy) będą, — i sprawa skończona. Publiczność później dyskretnie powie, że to nic nie było warte, — ale na tem **kierownikom „artystycznym"** już nie zależy —: pieniądze są! Oto, jak zazwyczaj urządza się wieczorki studenckie.

Na szczęście są wyjątki, ale coraz rzadsze! Że młodzież (tylko nią dobrze pokierować!) potrafi się zdobyć na piękny, twórczy wysiłek, potrafi dać w swych imprezach naprawdę małe arcydzieło, mogące iść w zawody z popisami zawodowych muzyków, śpiewaków, deklamatorów, czy aktorów, potrafi ich nawet swą pracą, szczerością i bezpośredniością wykonania przewyższyć, — o tem świadczą doroczne poranki b. Akademji Handlowej (obecnie Szkoła Ekonomiczno - Handlowa), prawdziwe cacka artystyczne; milutkie, sympatyczne wieczory muzyczno-wokalne Państwowego Gimnazjum żeńskiego; przedstawienia amatorskie uczniów gimn. Sobieskiego, które szczyci się tem, że nietylko wykonawcy wielu sztuk przewyższyli odpowiednie „kreacje" zawodowych krakowskich aktorów, ale i tem, że np. pierwsze w Krakowie wystawiło (pierwszorzędnie!) „Turonia" Żeromskiego, a pierwsze w całej Polsce (i zdaje się dotąd jedyne) fragmenty z „Samuela Zborowskiego" Słowackiego. I inne gimnazja mają podobne tradycje.

I czemuż tych tradycyj nie mamy podtrzymać, czemu się mamy zadawalniać byle jakim, wprost przypadkowym programem i często b. słabem wykonaniem? Czemu nie urządzimy więcej prób chóru lub zespołu muzycznego? Czemu w każdej szkole nie założymy kursów poprawnej wymowy, dykcji? Czemu jesteśmy tak leniwi?

A czyż nie na największe lenistwo wygląda fakt, że w mury szkolnego zakładu prosi się **same obce siły,** któremi wypełnia się **cały** program? Macie przecież Koledzy z gimn. św. Anny dość dobrą własną orkiestrę, macie dobrych solistów, macie też deklamatorów (kol. Stożek, Cieślar), podobno i chór coraz więcej pracuje, — czemuż więc za drogie bilety wstępu każecie rodzicom i gościom podziwiać obcych, zapewne nawet lepszych, ale zawsze obcych wykonawców?

Zastanówcie się Drodzy Koledzy, zajrzyjcie do starej kroniki waszego Zakładu i przypomnijcie jego dawne, dobre czasy! **(S. W. Balicki).**

= **KU CZCI JULJUSZA SŁOWACKIEGO** odbędzie się z końcem czerwca b. r. — w dzień sprowadzenia Jego zwłok do Krakowa — na dziedzińcu i w krużgankach Zamku królewskiego na Wawelu festival młodzieży krakowskiej. W festivalu tym wezmą udział najlepsze siły wszystkich szkół krakowskich. Kierownikiem artystycznym i reżyserem jest prof. A. E. Balicki.

= **ZARZĄD KOŁA ARTYSTYCZNO - DRAMATYCZNEGO** gimn. Sobieskiego jeszcze raz ogłasza, że w konkursie poetyckim na utwór ku czci króla J. Sobieskiego — pierwszej nagrody nie przyznano nikomu; drugą otrzymał kol. Bobrowski Juljusz, ucz. kl. VII. gimn. Sobieskiego, trzecią kol. Rostrunowicz Zdzisław, ucz. kl. VIII gimn. V. Wyróżniono pracę kol. Bugajskiego Jana kl. VIII. gimn. Sobieskiego). Kol. Rostrunowicz proszony jest o odbiór nagrody u kol. Bobrowskiego.

= **REDAKCJA „ZNICZA"** dążyć będzie do stworzenia pisma, któreby odpowiadało wszystkim słusznym życzeniom Czytelników. I w tym celu ogłasza ankietę: **Czego żądam od pisma dla młodzieży.** Zaznaczamy, że należy wyróżnić 3 rodzaje pism dla młodzieży: pisma redagowane tylko przez starszych bez udziału młodzieży; pisma redagowane tylko przez młodych i wreszcie pisma redagowane przez młodzież pod opieką i z pomocą doświadczonych pedagogów, którego to rodzaju pisma jesteśmy zwolennikami. Zaznaczamy również, że numer ten jest b. daleki od ideału, jaki sobie wytknęli wydawcy. Najlepsze odpowiedzi będziemy drukować. Prócz tego między wszystkich uczestników ankiety rozlosujemy bogate i piękne nagrody.

= Prace nadsyłane do „Znicza" należy pisać czytelnie po jednej stronie papieru, a podpisywać imieniem i nazwiskiem (ewentualnie pseudonim — podać w nawiasie); należy też podać klasę i zakład, do którego autor (autorka) uczęszcza.

= W bieżącym roku szkolnym ukażą się jeszcze dwa zeszyty „Znicza". Celem uregulowania nakładu prosimy o wcześniejsze wpłacenie przedpłaty: 0.90 zł. (z odnoszeniem lub przesyłką pocztową). — Redakcja i Administracja „Znicza" (gimn. Sobieskiego, ul. Sobieskiego 9) otwarta w soboty od godz. 4—5 popoł.

= Jeden z najbliższych numerów „Znicza" poświęcony będzie w całości — Juljuszowi Słowackiemu. Prace, do tego numeru przeznaczone, muszą być w posiadaniu Redakcji do dnia 5 czerwca b. r.

= Redakcja „Znicza" uprasza wszystkich byłych redaktorów i stałych współpracowników „Znicza" o łaskawe podanie swych adresów.

W sprawach redakcyjnych należy się zwracać do kol. Bobrowskiego Juljusza (kl. VII. a), zaś administracji do kol. Habzdy Tadeusza (kl. VII b) Gimnazjum Sobieskiego.

= **ODPOWIEDZI REDAKCJI: Kol. kol. Rosenthal i Puder** (z Warszawy): Artykułów Waszych, jako obecnie nieaktualnych, nie mogliśmy umieścić, ale prosimy bardzo o pamięć; **Kol. Kozień:** Artykuł Wasz „O Sodalicjach" zbyt późno nadesłany zamieścimy w następnym numerze; **kol. W. Malinowska, St. Kunze, A. Knapczyk, J. Sulimir, J. Bugajski, Birnbach:** Będziemy drukować. **Kol. W. Mączka i kol. Berkowicz (Lwów):** Nie zamieścimy. **Kol. Konarski:** Rysunki zużytkujemy.

Wydawca: Sekcja literacka Koła Artystyczno-dramatycznego uczniów P. Gimn. im. kr. J. Sobieskiego.

Kierownik Administracji: Władysław Kozień.

Redaktor na Warszawę: Zbigniew Dąbrowski, Warszawa, ul. Wiejska 15, m. 1.

Redaktor naczelny: Stanisław Witold Balicki.

Kurator i redaktor odpowiedzialny: Prof. Dr. Aleksander Łucki.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, ul. Sobieskiego 9.

Odbito czcionkami Drukarni Ludowej w Krakowie. — Tel. 1310.